

Rozdział 15

Pomoc

Między dniem, w którym uświadomiłam sobie, że muszę przestać pić, a dniem, w którym przestałam, płakałam niemal każdego wieczoru. Siadywałam w niewielkim pokoju, gdzie Michael trzyma wieżę stereo z odtwarzaczem kompaktowym, słuchałam w kółko tej samej smutnej piosenki *You're the One* Dwighta Yoakama i zalewałam się łzami. Czułam się tak, jakbym odrzucała jedyne źródło spokoju i otuchy, najbliższego przyjaciela, kochanka. Jakbym zamieniała jedno nieszczęście na inne, szykowałam się do skoku w próżnię, jakby moje życie dobiegało końca.

Każdy, kto zerwał z piciem, zna to uczucie paniki i zagrożenia. Wilfrid Sheed, autor książki *In Love with Daylight: A Memoir of Recovery* [Zakochany w jasności. Wspomnienia rekonwalescenta], pisze, że „po rzuceniu picia jest na początku tak, jakby się siedziało w wielkiej galerii sztuki i patrzyło na zdejmowanie obrazów, jednego po drugim, aż w końcu nie pozostaje nic prócz gołych białych ścian”. Norman Mailer ujął to nieco ostrzej, stwierdzając posępnie, że trzeźwość niszczy wszystkie „włosowate naczynka dobroduszości”.

Przez kilka tygodni myślałam krótkimi, twierdzącymi zdaniem:

„Już nigdy nie będę się dobrze bawiła na przyjęciu”.

„Już nigdy nie nawiążę intymnej pogawędki”.

„Nigdy nie wyjdę za mąż. Jak można brać ślub bez szampana?”

Oczywiście piłam co wieczór i wychylałam każdy kieliszek z wyostrzoną świadomością więźnia z celi śmierci, spożywającego ostatni

posiłek. Siostra poleciła mi ośrodek w New Hampshire, o nazwie Beech Hill. Ustaliłam datę swego przyjazdu na dwudziestego lutego, w związku z czym widziałam przed sobą poszatkowane na fragmenty dwa miesiące. Mój ostatni miesiąc picia. Ostatni tydzień picia. Ostatnia szkocka w Aku. Ostatnie piwo w kuchni Michaela. Ostatni kieliszek białego wina.

Ostatni łyk alkoholu wychyliłam tuż przed północą w salonie Michaela. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu do ośrodka, poszłam na kolację z moją przyjaciółką Sandy, która jako jedna z nielicznych osób wiedziała, co zamierzam, i która przyjechała na weekend z Filadelfii. Przed kolacją piłam piwo i wino, do kolacji wino, później koniak przy barze, a gdy Sandy poszła do toalety, pociągnęłam ukradkiem parę łyków z jej kieliszka. Po powrocie do mieszkania Michaela otworzyłam kolejną butelkę czerwonego wina. Choć tego nie pamiętam, według Michaela wstałam i oznajmiłam: „Idę do łóżka”, po czym wypiłam duszkiem zawartość kieliszka i na chwileczkę nogach opuściłam pokój.

Pojechałam do ośrodka sama – wrzuciłam do bagażnika dwie walizki i wyruszyłam sprzed domu Michaela. Miałam kaca. Paliłam przez całą drogę i kilka razy zemdliło mnie od dymu – po minionym wieczorze było mi trochę niedobrze i dygotałam wewnętrznie. Przypomniał mi się pewien poranek sprzed lat – byłam wówczas tuż po dwudziestce – kiedy matka spojrzała na mnie przy śniadaniu i powiedziała: „Kochanie, trzęsie ci się głowa”. Miała rację – czasami, gdy dokuczał mi naprawdę porządny kac, moją głowę ogarniało lekkie, lecz nieustanne drżenie, jak gdyby mózg podskakiwał – i to samo działo się ze mną w drodze do ośrodka. Ale pomijając drżenie, chyba nie wyglądałam najgorzej. Na wszelki wypadek zatrzymałam się na poboczu przed wjazdem do miejscowości Dublin w New Hampshire, gdzie znajdowało się Beech Hill, i umalowałam usta. Pozory – zachowywałam je do samego końca. W ośrodku przyjmująca mnie pielęgniarka zrobiła

mi zdjęcie polaroidem, żeby dołączyć je do karty. Jestem na nim blada, chuda i wystraszona, ale moja szminka wygląda bajecznie.

Beech Hill leży na szczycie góry, co wydaje się pogodnie i malownicze, lecz takie nie jest, przynajmniej w drugiej połowie lutego. Niemal przez cały czas panował lodowaty ziąb, mgła zasnuwała niebo, a gdy spoglądało się przez okno kafeterii na rozciągający się w dole pagórkowaty krajobraz, widać było tylko monochromatyczne zimowe plamy w odcieniach brązu i szarości.

Wewnątrz budynek przypominał szpital, choć może jego charakter nieco mniej rzucał się w oczy. Główne wejście prowadziło do świetlicy, w której ludzie siedzieli na krzesłach i oglądali telewizję, czytali albo grali w gry planszowe; po prawej stronie, za podwójnymi drzwiami, znajdowała się kafeteria, a po lewej, za świetlicą, dwa długie korytarze. Z tych korytarzy wchodziło się do naszych pokoi, skromnych, w motelowym stylu, z wąskimi łózkami i podstawowym umeblowaniem – stół, szafka. Miałam dwie współlokatorki, obie trzydziestoparoletnie – tęga czarna kobieta z New Jersey, której imienia nie pamiętam, oraz drobna blondynka z Connecticut, Alison, alkoholiczka jak ja i również po raz pierwszy w ośrodku odwykowym.

Formalnie rzecz biorąc, była to moja druga wizyta w Beech Hill. Pojechałam tam pod koniec stycznia na „wycieczkę”. Było to wydarzenie bez precedensu i bardzo rozbawiło ludzi, których tam spotkałam. Jednak mi wydawało się czymś najzupełniej normalnym, że chcę obejrzeć to miejsce – jak ogląda się campus uniwersytecki, zanim złoży się papiery. Przyjechałam w marznącym deszczu, odbyłam piętnastominutową rozmowę z administratorką, upewniłam się, że ośrodek nie wygląda jak zakład dla nerwowo chorych, i odjechałam ze łzami w oczach. Powiedziałam administratorce, że zgłoszę się dwudziestego. Spojrzała na mnie i odparła: „To długi czas i może pani zmienić zdanie”, a ja zbyłam jej troskę machnięciem ręki. Nic miałam pojęcia, jak wiele osób decyduje się na ośrodek, a potem wycofuje w ostatniej chwili. Zapewne mnóstwo.

Skoro już zarezerwowałam miejsce, oczekiwałam – jak przypuszczam – komitetu powitalnego, jakiejś życzliwej pielęgniarki lub recepcjonistki, która weźmie mnie za rękę, zaprowadzi do pokoju i zapewni, że wszystko będzie dobrze. „Ach, to pani Knapp! Witamy!”

Nic podobnego nie miało miejsca. Ludzie przez cały czas zjawiają się w ośrodku bez uprzedzenia, często przywożeni przez przyjaciół lub krewnych w stanie kompletnego upojenia, a personel po prostu ich przyjmuje. Jak przyjął i mnie. Zgłosiłam się w niedzielę po południu, kiedy dyżurujący personel jest niekompletny, i musiałam chwilę zaczekać na kogoś, kto się mną zajmie.

Wysoki, chudy sanitariusz wprowadził mnie wreszcie do sali przyjęć, zmierzył temperaturę, puls i ciśnienie, a następnie pomógł przenieść bagaż z samochodu. W ośrodkach odwykowych przeszukuje się rzeczy pacjentów – rutynowe działanie, aby sprawdzić, czy ktoś nie przemycił narkotyków lub alkoholu – więc sanitariusz zabrał moje walizki. Zaproponowano mi, żebym usiadła w świetlicy albo w palarni i czekała na pielęgniarkę, która mnie zbada dokładniej.

Palarnia znajdowała się tuż za głównym wejściem. Było to obskurne pomieszczenie ze ścianami z żółtawego szkła i starymi meblami wyglądającymi na ogrodowe. Nazywano ten pokój „Płucnikiem”. Przesiedziałam tam pół godziny, myśląc: „Co ja tu, kurwa, robię?”. Przy sąsiednim stoliku siedział starszy mężczyzna o smutnej twarzy, niejaki Ray, w towarzystwie nieco histerycznej kobiety po czterdziestce, o imieniu Pat (w połowie mojego pobytu w ośrodku z niewyjaśnionych przyczyn zmieniła imię na Penny) oraz wycieńczonego narkomana uzależnionego od heroiny, który także dopiero co przyjechał i którego imię wyleciało mi z pamięci.

Nigdy nie rozważałam możliwości wyjścia z nałogu bez zgłoszenia się do ośrodka odwykowego, możliwości wzięcia się w garść i wstąpienia do AA w domu. Szczerze mówiąc, nie przyszło mi nawet do głowy, że wyląduję w ruchu AA. Nadal kojarzył mi się z grupą